

MICHAŁ  
GOŁKOWSKI



stalowe szczury

STILLE NACHT



M I C H A Ł  
GOŁKOWSKI



STILLE NACHT

fabryka słów®

Lublin – Warszawa



# Stille Nacht

**O**czywiście to właśnie Jean-Henry musiał wyciągnąć najkrótszą słomkę.

Pozostali popatrzyli na niego z mieszaniną współczucia i ulgi malującą się na lekko zarośniętych, posiekanych przez mróz twarzach. Przez tych parę miesięcy na froncie zdążyli, owszem, poznać się dobrze: byli towarzyszami broni z kompanii, nawet kolegami.

Nie na tyle bliskimi jednak, żeby zapalać teraz chęcią przyjęcia przeznaczonej dla niego kulki.

Przełknął ślinę i popatrzył ponad krawędzią okopu na pokryte oszronionym błotem pole. To tam, w granatowo-szarej mgiełce, ciągnęły się linie okopów przeciwnika.

Już teraz czuł przez skórę, że jeden z setek karabinów, stojących na razie pod ścianami ziemianek, czeka właśnie na niego.

– No już, idziemy – zaproponował bez szczególnego przekonania Bourguignon. – Miejmy to za sobą.

Jean-Henry potoczył wzrokiem po pozostałych kolegach, szukając w ich twarzach – czegokolwiek! Współczucia, poparcia, nadziei na uchylenie wyroku losu. Na próżno: spuszczali oczy albo patrzyli na niego niewzruszenie.

W końcu kapral Bissonette poruszył swoimi sumiastymi wąsikami, odchrząknął i podał mu stojący pod ścianą okopu ciężki młot.

– Przypadła wam zaszczytna funkcja, szeregowy Chofard. Gdy wrócimy, dostaniecie dodatkową rację wina.

„My”. Gdy „my” wrócimy. Jean-Henry był niemal pewien, że te słowa to wyłącznie zaklinanie rzeczywistości. „Oni” być może. „My” raczej na pewno nie.

– Naprzód. – Bissonette jako pierwszy wszedł na drabinę i wyczołgał się z bezpiecznego zagłębienia wysuniętej transzei.

Ziemia niczyja była pusta, zimna i wroga. Ciężkie chmury przewalały się po grudniowym niebie, niosąc ze sobą zapowiedź rychłego śniegu. Błady rogalik księżyca od czasu do czasu tylko wychylał się nieśmiało spomiędzy czarnych obłoków, od razu chowając się z zażenowaniem: nie do takich wojen przywykła Piękna Francja.

Czołgali się w pięciu: Jean-Henry, zaraz obok niego kapral Bissonette. Nieco z tyłu sapali i szurali ciągniętymi za sobą drewnianymi palami la Sueur i Bourguignon, a na samym końcu pełził gruby Houdin, mający po kolei przywlec im wyplecione z faszyny zasłonki.

Jean-Henry zacisnął dłonie w bezsilnej złości, wtulił twarz w zmarzniętą ziemię: faszyna!

Oficer dowodzący przekazał im „dobrą nowinę” dosłownie na kwadrans przed wyjazdem na przepustkę: dowództwo zdecydowało, że w trakcie spodziewanego okresu spokoju mają przygotować wszystko do kolejnego szturm. Zadaniem wyznaczonych z każdej kompanii grup będzie wykonanie podejścia pod pozycje wroga. Podejścia, i to było kluczowe słowo – bezpiecznego. Zasłoniętego przed wzrokiem obserwatorów.

Początkowo rozważano stalowe tarcze na kołach, ale zostały uznane za zbyt nieporęczne i drogie. Więc, dla prostej i wygody przenoszenia, zdecydowano się najpierw na deski, zamienione potem, drogą negocjacji i optymalizacji, na wiklinę.

Wiklinowa zasłona mająca ochronić szturmujących przed ogniem karabinów maszynowych.

– Tutaj wbijamy pierwszą – szepnął kapral Bissonette. – La Sueur, Bourguignon! Dawać tutaj z tym kołkiem!

Dwaj szeregowi podczołgali się, nie podnosząc nawet głów, ustawili prawie-że-pionowo półtorametrowy palik. Popatrzyli wyczekująco.

Jean-Henry obliznął nerwowo usta, poprawił chwyt spoconych dłoni na stylisku pioruńsko ciężkiego młota.

Podkulić kolana, poderwać się, wyprostować, jednocześnie biorąc zamach. Uderzyć jak najmocniej od góry i paść plackiem na ziemię, mając nadzieję, że nikt nie zdąży go zastrzelić.

Właśnie tak.

Dokładnie tak.

Raz jeszcze przebiegł w myślach plan działania. Wyobraził sobie tysiąc i jeden kierunków, z których może nadlecieć kula. Potrząsnął głową.

Zerwać się, zamachnąć, uderzyć, paść.

Łatwizna.

– Choffard, śpicie? – syknął kapral Bissonette. – No już!

Jean-Henry odetchnął głęboko kilka razy. Zebrał się w sobie. Podskoczył, wzniosł młot nad głowę i z całych sił opuścił na przeklęty kolek.



– Panie kapralu, idą.

Otto Pfilch skończył nabijać swoją nieodłączną fajkę. Pstryknął zapalną, przytknął do ubitej w kominku machorki. Zaciągnął się, pyknął raz i drugi.

– Ano, pewnie idą – mruknął filozoficznie, patrząc na młodego Graebnera spod ronda skórzanego hełmu.

Ludzie przyłgnęli do ścianki okopu, wypatrując oczy w atramentową noc. Panowała szumiąca w uszach cisza. Oddechy unosiły się obłoczkami pary z półotwartych ust, osiadały szronem na wąsach i brodach.

– Schleiermacher zameldował, kilku słyszało to samo – relacjonował szeptem Graebner, gdy szli na pozycję. – Budzimy już chłopaków w schronach, ale wszystko po cichu.

Otto kiwnął głową, stanął na ławeczce obserwacyjnej. Odsunął zaślepkę pancерnej płyty. Zawsze lepiej czuł się za czymś bardziej wytrzymałym i solidnym niż tylko własna skóra i kości. Niemłode, swoją drogą, kości.

Bardzo ostrożnie, jednym okiem wyjrzał w pustkę.

– No i słusznie. Powiedźcie, mi, szeregowy, co...

Uciał. Dźwięk był nieszczerólnie donośny, ale wyraźny. Krótki, urwany, niknący w ciemnościach chłodnej nocy, nie mniej słyszalny. Jak uderzenie ciężkiego metalu o drewno.

– Idą – mruknął Otto.

– Jakie rozkazy, panie kapralu?

Rozejrzał się w lewo i prawo. Wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi był najstarszy stopniem na całym odcinku. Dostał, owszem, propozycję dołączenia do podoficerskiego rautu na tyłach, ale grzecznie odmówił: przyzwoitość podpowiadała mu w niewybrednych słowach, że jego miejsce jest tej nocy tutaj, razem z ludźmi z jego kompanii.

Znaleźli nawet drzewko, przybrali wypolerowanymi gilzami i wstążkami od Krzyży Żelaznych. Złożyli sobie



zyczenia rychłego końca wojny. Wypili po kubku zagrzanego wina, pobrali po półtorej racji żywności. Miało być tak spokojnie...

– Panie kapralu? Rozkazy?

Otto westchnął.

– Hełmy włoż, bagnet na broń. Szykujemy się do wypadu uprzedzającego.



Kapral Bissonette pokiwał z aprobatą głową. Ruch był nieco mniej dostojny, jako że sam dowodzący leżał plackiem na ziemi, ale nie mniej przez to zobowiązujący.

– To teraz drugi.

Jean-Henry zagryzł zęby, żeby nie zacząć płakać. Przez ostatnich kilka minut umierał w myślach tyle razy, że przestał już liczyć. Spocił się cały z wysiłku i nerwów, bo przekłęty palik nie chciał wchodzić w zmarznięty grunt! Dwa razy młot omsknął się i uderzył go boleśnie w piszczel. Zdążył już zrobić sobie odcisk.

A zasłon było siedem.

– No już, Jean-Henry – ponaglił go Bourguignon, który przyznał się przed wyjściem, że od dwóch dni nie był jak należy w latrynie. – Szybciej!...

– Może... może teraz ktoś inny? – zaproponował nieśmiało Jean-Henry.

Odpowiedziała mu głucha, pełna dezaprobaty cisza. Wszyscy zgodzili się na ciągnięcie słomek. On ciągnął pierwszy. Najwidoczniej los tak chciał... A nawet jeśli zmienił od tamtej pory zdanie, to tak chcieli teraz inni.

Podniósł się na kolana, ujął młot. Zaczął sam dla siebie odliczać.

Trzy... dwa... jeden...



– Jak pan sądzi, co oni tam robią?

Kapral Pfilch pyknął fajkę, wzruszył ramionami. Stojący obok Bruhn patrzył na starego wiarusa niczym w obrazek.

– Choinki może ścinają – wyraził przypuszczenie Otto. – Albo rozstawiają namiot.

Do ich stanowiska podbiegł cokolwiek zdyszany Graebner, który właśnie zakończył rundę po najbliższych kompaniach. Wyrównał oddech, wytarł pot spod pikielhauby i sapnął:

– Chłopcy gotowi, panie kapralu. Taśma wpięta w kae-my, karabiny zarepetowane. Granaty na półkach.

Fajka Ottona przewędrowała w drugi koniec ust. Jej posiadacz mruknął, patrząc w ciemność nieobecny wzrokiem:

– Albo nawet ryby będą łowić.

Graebner popatrzył na pełniącego obowiązki dowódcy, zdziwiony.

– Panie kapralu?...

– Lubicie karpia, Graebner? Takiego w galarecie, z marchewką i przybiorem z zieleniny.

Żołądki kilku najbliższych żołnierzy zaburczały przeciągle.

– *Herr Gefreiter?*...

Otto potrząsnął głową, zaciągnął się mocniej fajką. Odchrząknął.

– Czekajcie na mój rozkaz – westchnął, podchodząc ku przystawionej do ścianki okopu drabinie.



– Nie mogę... nie dam już rady!...

– Jeszcze tylko dwie, szeregowy Choffard! – Kapral Bissonette potrząsnął nim za poły munduru. – Jeszcze tylko dwie! Idzie wam świetnie!

– Nie mam siły... – chlipnął Jean-Henry, będący już u granic odporności psychicznej.

Rzeczywiście, postawili pięć z siedmiu planowanych zasłonek. Krzywo, płytko, ale dali radę.

I teraz byli tak blisko frontowego okopu Niemców, że Jean-Henry niemal czuł zapach tytoniu.

Ktoś na pewno tam był. Patrzył na niego. Widział, jak wstaje, i za każdym razem trzymał go na muszce.

– No już! – syknął z tyłu grubas Houdin. – Ja chcę do domu!...

I wtedy w Jean-Henrym coś pękło.

Po prostu wstał, stanął szeroko na nogach. Popatrzył na zamarłych nagle w przerażeniu towarzyszy, po czym zamachnął się mocno i z całej siły, uderzając znad głowy, wałnął w ten przeklęty kołek. Drewno zarezonowało i jęknęło, a on zamachnął się po raz drugi.

Wkładał w to cały swój żal. Całą nienawiść do tej idiotycznej wojny. Cały zebrany przez miesiące na froncie strach.

*Lup!*

Nie chciał umierać.

*Lup!*

Nie dziś!

*Lup!...*



– Kapralu, jakie rozkazy? – syknął Graebner.

Otto patrzył w kierunku, z którego niosły się dźwięki. Obok niego operator karabinu maszynowego nerwowo poprawiał chwyt na spuście, co chwila spoglądając w bok i próbując wyczytać z twarzy dowodzącego, co dalej.

Wszyscy czekali na jego słowo. Na jeden rozkaz.

A on tak bardzo nie miał ochoty walczyć.

Nie dziś.



– Jeszcze tylko jeden!... – pisnął podnieconym głosem la Sueur.

– Choffard, jeszcze jeden!

Jean-Henry zatoczył się niczym pijany, wyrwał leżącemu na ziemi Bourguignonowi ostatni kołek. Zarzucił go sobie na ramię i po prostu ruszył w kierunku niemieckiego okopu.

Było mu wszystko jedno.



– Kapralu, on coś niesie – syknął patrzący ponad lufą karabinu Bruhn.

Otto zagryzł fajkę. Widział doskonale, jak na dłoni, sylwetkę zataczającego się Francuza, idącego prosto na ich pozycję.

– Kapralu Pfilch, zdjąć go?

Sięgnął do kieszeni, wymacał benzynową zapalniczkę.

– Kapralu?...

Pstryknął ogienkiem, odpalił znów zgasił fajkę.

Było tylko jedno, co mógł zrobić.



Jean-Henry zamachnął się młotem, już, już miał uderzyć w kołek – i zamarł.

Znad pola, kilkadziesiąt kroków od niego, podniosła się postać w długim okopowym płaszczu. W świetle księżyca widać było szpic hełmu i potężne wąsiska, ładownice na naboje i kołuszający się u pasa bagnet.

Obok z ziemi wstała kolejna, następna i jeszcze jedna.

Jean-Henry wypuścił z ręki młot, szarpnął wiszący na plecach karabin. Trzęsącymi się rękoma zarepetował, poderwał do oka.

Niemiec ruszył na niego.

Palec wymacał zimny, twardy język spustu.

Na wysokości splotu słonecznego ciemnej postaci błysnął ogień. Jean-Henry drgnął, ale nie strzelił: nie było huk, nie było szarpnięcia kuli.

Ogień benzynowej zapalniczki wyciągnął z mroku podświetlony od dołu kontur pooranej zmarszczkami twarzy i ledwo tłącej się fajki, trzymanej w zaciśniętych ustach.

– *Stille Nacht, heilige Nacht...* – zaintonował Niemiec ochrypłym, łamiącym się głosem. Słowa kolędy popłynęły w ciemność chmurkami pary podświetlonej chybotliwym ognikiem, znikając w bezkresie czerni tej nocy, równie cichej, co świętej.

– *Alles schläft, einsam wacht...* – odpowiedziało mu kilka głosów.

Jeszcze parę zapalniczek błysnęło w ciemności, ktoś włączył trzymaną w dłoni latarenkę.

– *Nur das traute hochheilige Paar...* – poniosło się ponad pozycjami Niemców nierównym, ale z chwili na chwilę coraz silniejszym chórem.

## Stalowe szeptury

Jean-Henry patrzył na to, nie wierząc. Wypuścił karabin, gorączkowo sięgnął do kieszeni i wyjął pudełko zapalek. Trzasnął o draskę jedną, złamał drugą, w końcu dał radę zapalić trzecią. Podniósł przed siebie i do góry, jak nienaruszalny symbol pokoju. Niczym światło chroniące od całego zła.

Zaczerpnął tchu. Znał tę melodię, znał od dziecka.

– *Cet enfant sur la paille endormi...* – włączył się wysokim, równym głosem.

Podszedł do Niemca, wyciągając rękę. Tamten podał mu szorstką, silną dłoń w szydełkowanej rękawiczce bez palców.

– *C'est l'amour infini!* – odezwali się zza niego Bourguignon i la Sueur.

– *Schlaf in himmlischer Ruh!* – zadudniła cała linia Niemców.

Coraz więcej ludzi wychodziło z okopów po obydwu stronach. Bez broni, bez obaw, bez strachu. Przez tę jedną magiczną chwilę nie będąc wrogami czy obywatelami zwaśnionych krajów, ale po prostu sobą. Podchodzili, podawali sobie ręce. Składali życzenia, każdy po swojemu, albo po prostu obejmowali się, jak bracia.

Księżyc uśmiechał się zalotnie zza chmur do migającej ponad horyzontem pierwszej gwiazdy, wzywającej wszystkich do jednego w roku posiłku pojednania i zadumy.

– Wesołych Świąt! – z niemieckiego okopu, ale po polsku wydarł się na cały głos Krajewski.

*Była to Wigilia roku Pańskiego 1914*



COPYRIGHT © BY Michał Gólkowski  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana  
ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie,  
fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana  
w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

KOREKTA Magdalena Byrska

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl

ZAMÓWIENIA HURTOWE



Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
tel./faks: 22 721 30 00  
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl

WYDAWCA



fabryka słów®  
W S Z A W N I C T W O

Fabryka Słów sp. z o.o.  
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a  
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91  
www.fabrykaslow.com.pl  
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl  
www.facebook.com/fabryka